

## SŁONECZKO

Rok III

Warszawa, 15.IV. 1962

Nr 15

## „WIERZĘ W ŻYWOT WIECZNY”

## WIECZNOŚĆ KAR PIEKŁA

Wieczność piekła jest najwyższą karą, jaka tylko istnieć może. Pomyśleć tylko: minie rok, sto, tysiące, milion, sto milionów lat – a piekło dla skazanych dopiero się zaczyna. Jeśli wyobrazimy sobie, że jest tam jakiś zegar, to będzie on zawsze wskazywał godzinę pierwszą. Wahadło zaś będzie powtarzać nieustannie: „zawsze – nigdy”.

Nie będę przytaczał nowych tekstów biblijnych, a takich jest hardzo dużo, ale przypomnijcie sobie już wymieniane w naszych katechezach, w których Pan Jezus mówi jasno o ogniu wiecznym, o męce wiecznej.

Człowiek zawsze woli ponieść największe nawet tortury, byle trwały jak najkrócej. A jak bardzo cierpi, gdy ból – choćby niewielki – trwa i nie ustępuje, np. ból zęba, ropienne rany itp.

Ale pamiętajmy, że do piekła Pan Bóg nikogo nie przeznaczą. Człowiek idzie tam z własnej nieprzymuszonej woli. Wle, że jest Bóg, że są przykazania Boże, a woli Bożej nie chce zachować.

Jak nagroda w niebie będzie miała swoje stopnie, tak i kara w piekle. Mówi się czasem o wielkiej liczbie potępionych, a małej zbawionych. Trudno przypuścić nawet, by szatan w walce o człowieka odniósł większe zwycięstwo niż Bóg, aby z owoców Odkupienia miała skorzystać mała tylko garstka ludzi. Pan Jezus w swoich naukach mówi wprawdzie o szerokiej drodze, która wiedzie na potępienie i że wielu na nią wstępuje, ale to nie znaczy, że przed nimi zamknięta jest droga do nawrócenia.

Ks. E. K.

# NAJMLÓDSZYM

Między mnogą ilością zabawek wybieramy najciekawsze. Będą tam samoloty i sputniki, pługi i traktory, laleczki i misie. Ale chyba najprzyjemniejszymi będą zabawki — zwierzątki? Zresztą spójrzcie...



Ks. K. EDMUNTOWICZ

# ZWYCIĘZCA

8

„Jam jest zmarłychwstanie i żywot” (J. XI. 25).

Obawiałeś się utracić jakieś dobra, które tłuszcza obiecywała ci odebrać. On zaś patrząc na ciebie, mówił ci, że nie jest władzą tego świata, lecz innego. Do swego świata chciał cię wezwać i tam cię obdarzyć szczęściem, ale ty wymawiałeś się.

Był ubrany w białą szatę. Długie włosy spadały mu na ramiona. Jasnym, spokojnym wzrokiem śledził za tobą.

— To on — szepnął Pilat.

— Błagałam cię, abys nie ulegał tłuszczy i ratował go. Obok na wysokim piedestale stał cesarz August i spokojnie przypatrywał się jemu i tobie. Lud podburzony przez swoich przywódców domagał się jego śmierci. Ty jednak wahałeś się, bo litość, poczucie sprawiedliwości przemawiały za nim. Ty starałeś się go uwolnić bez poświęcenia się w imię sprawiedliwości i prawdy. — W końcu wydałeś go nieprzyjaciolom. Wówczas on zwrócił się do cesarza, aby cię jemu wydał. Cesarz zgadzał się, ale ty się broniłeś, potem zszedłeś ze stołka sędziowskiego, gdyż wzmagął się w tobie wewnętrzny niepokój, który przywarł do ciebie, jak tunika Nessusa i palił cię, jak rozpalone żelazo. Imperator z uśmiechem przypatrywał się twojej męce, a potem wypędził cię gdzieś na pustynię, gdzie przeżywałeś straszne dni bez cienia nadziei.

— Klaudio, daj spokój zmęczonym myślom i proszę cię wyjedź trochę do słonecznej Italii. Za dwa dni okręt nasz odpływa do Rzymu. Tam odpoczniesz, a potem wrócisz.

— Nie Poncjuszu — odparła — ja przy tobie zostanę. Nie jestem chora, ani zmęczona.

— Dlaczego wierzysz w sny. Zło, które człowieka spotkać może, łatwo jest zażegnać, składając bogom ofiary.

— Poncjuszu, ja nie wierzę w skuteczność ofiar składanych bożkom. Ale wiem, że Jezus z Nazaretu jest niewinnym, więc nie powinieneś skazywać sprawiedliwego.

– Klaudio!...

– Poncjuszu, ja wiem, że miasta runą, królestwa padną i Rzym straci berło świata, a ty się zhańbisz na wieki.

– Klaudio! – wrzasnął Piłat.

– Poncjuszu, ja, Klaudia, twoja żona z tobą, z twoim imieniem związałam się, z twoim honorem, a honor ten ty sam kalasz. Nigdy nie robiłam ci wymówek z powodu twej pracy publicznej, ani prywatnego życia. Nie dręczyłam nigdy podejrzeniami, zazdrością, gniewem. Niczego dla siebie nie wymagałam, prócz szacunku. Dlatego proszę dzisiaj, nie skalaj swego honoru i nie znieważ krwi Klaudiuszów, która płynie w mych żyłach, a z której jestem dumna. Sam mi mówileś tysiąc razy, że mnie miłujesz. A przecież nie ma sroższego cierpienia nad to, gdy gardzi się człowiekiem, którego się miłuje. Jest to tak, jak gdyby ktoś ciało żyjące do trupa przywiązywał.

Proszę cię, mój drogi, nie dbaj o cezara, nie dbaj o bogactwa, sławę. Umiej być rycerskim, jak rycerskim jest człowiek, w którego żyłach płynie krew wolnego Rzymianina. Nie skazuj tego człowieka na śmierć.

Urwała. Lzy spływały po jej bladym obliczu. Piłat rozpaczliwym ruchem przesunął ręką po czole. Starał się okazać spokój w wirze sprzecznych wrażeń.

Jutrzenka złagodziła ciemności nocy. W dali rysowały się cudne ogrody, pełne świeżości i woni. Piłat wstał, podszedł do okna i spojrzął na niebo, które złociło się tysiącami złocistych promieni wschodzącego słońca. Stał tak chwilę, potem się odwrócił, oparł plecami o zimną ścianę i rzekł:

– Potępiani w sobie wszystko, czym kiedykolwiek sprawiłem ci przykrości, o boska. Ale już nic się nie zmieni. Jezusa z Nazaretu wydałem starszyźnie żydowskiej. Aczkolwiek niechętnie i bez przekonania, wyraziłem zgodę na jego śmierć okrutną, bo krzyżową.

– Jednak!... – jęknęła Klaudia.

– O boska, bądź spokojna. Umarli śpią długo i są nieszkodliwi dla żyjących.

## Rozdział IV

### Zerwane przymierze

Krwawe męczeństwo i znieważanie Chrystusa ciągnęło się przez długie godziny. Kapłani, doktorzy i faryzeusze z największą radością pastwili się nad swą ofiarą, od chwili, gdy stanął przed Kajfaszem. Ci, którzy nienawidzili motłochu, ani-

kaaresów, nie wahali się z nimi złączyć, gdy chodzi o osobę Chrystusa, który publicznie w świątyni rzucił im straszliwe i pamiętne „biada”.

Nie dosyć im było widoku męczarni biczowania, obelg, znie wag, cierniem koronowania, przebicia gwoździami rąk i nóg. Stojąc pod krzyżem, po którym spływała krew Zbawcy-męczennika, zwrócili ku Niemu swoje oblicza tchnące nienawiścią, pilnie śledząc czy nie drży, czy nie ujrzą jakichś oznak słabości.

Za wszelką cenę postanowili syna człowieczego na zawsze okryć cieniem niesławy. Toteż szydzili z Niego, ale On milczał.

Domagali się cudu zstąpienia z krzyża, wołając:

— Hej, ty, co burzysz świątynię Bożą i w trzy dni ją odbudowujesz, wybawże samego siebie. Zstąp z krzyża, jeśli jesteś Synem Bożym!...

— Jeśli jesteś królem żydowskim, wybawże samego siebie!...

A On milczał. Milczenie to denerwowało wodzów Izraela. Sądziłi, że po moralnym złamaniu skazańca, nieszczęśliwy będzie przynajmniej bluźnił, jak inni, jeśli nie prosił już o litość. On tymczasem milczał, tylko jakby dalekie echo dobiegła ich uszu cicha modlitwa:





– „...Odpuść im, bo nie wiedzą co czynią...!”

Słowom tym zawtórował głośny, pogardliwy śmiech:

– Innych ocalił, a sam siebie ocalić nie może!

– Ufał w Boga, niech go teraz, jeśli chce, wybawi!

– Hej, synu Boży, zstąp z krzyża!

Z krzyża nie zstąpił. A oni, mimo okrzyków potępienia i pogardy, drżeli, jak oskarżeni. On zaś był spokojny, jakby sędzią ich był, a nie oni Jego.

Lecz w końcu wszystko znuży, nawet gdy się męczy wroga, który się nie broni.

Kapłani, dokonawszy swego, zstępowali z góry. Ciemności zaczęły ogarniać ziemię. Wicher przeganiając kłęby ciemnych chmur, gromadził je, jak podczas burzy na zachodzie.

Kapłani, spoglądając na ciemniejące niebo, zaczęli przyspieszać kroku. Zbliżała się bowiem godzina ofiar wieczornych. Wszyscy idąc drżeli na całym ciele, lecz nie przestawali się śmiać i mówić głośno.

Wstąpili na most królewski i spojrzeli ku świątyni, która w liliowym zmroku wylaniała się marmurowa, złota, a błyskawice rzucały na nią oslepiające światło.

Kajfasz idąc podziwiał to wspaniałe sanktuarium, tę dumę Jerozolimy i pocieszał się myślą o jego niezniszczalności. Wskazując towarzyszom świątynię, rzekł:

– „Zburzę tę świątynię”.

Wszyscy roześmiali się pogardliwie, bo oto świątynia stała, a człowiek ów w niemocy konał na krzyżu.

Kajfasz nie posiadał się z pychy. Piękno jego świątyni dumą napępiało mu duszę. Drwiny kapłanów z ukrzyżowanego Chrystusa podtrzymywały go jeszcze. Idąc z głową podniesioną, skandował wersety z prorocтва Ezechiela:

„Lecz kapłani i lewici, synowie Sachela, którzy strzegli świątyni mojej, gdy błądzili synowie izraelscy ode mnie, ci przystąpią do mnie, aby mi służyć, i stać będą przed oczyma moimi, aby mi ofiarować tłustość i krew...”

Z sercem przewrotnym Kajfasz i jego kapłani dumnie wstępowali po stopniach świątyni, a lud bił niskie pokłony. Szli krokiem majestatycznym, pełni zadowolenia, że ukrzyżowali Tego, który mienił się synem Bożym.

A Jezus w samotności, w opuszczeniu, z wysokości krzyża, na którym konał, z boleścią spoglądał na miasto, które proroków Bożych i Syna Bożego odrzuciło.

# WILK i ZAJĄC

Podczas polowania postrzelono jednego zająca. Z wielkiego bólu nie mógł on uciekać przez las, tylko szedł wolno, postępując i narzekając na ludzi, że zrobili mu taką krzywdę. W czasie tej wędrówki natknął się na wilka, który ucieszył się z tego spotkania.

— W porę cię spotykam — rzekł wilk. — Jestem głodny. Smaczne śniadanie będę mieć z ciebie.

Zając zaczął prosić o darowanie życia, obiecując, że dostarczy mu lepszego pożywienia:

— Dam ci człowieka, który jest smaczniejszy.

Wilk jeszcze nie znalazł człowieka, więc zaciekawiał się i mówi:

— Dobrze, zostawię cię w spokoju. Prowadź mię do tego człowieka.

Udali się na poszukiwanie człowieka i spotkali małe dziecko.

— Czy to jest człowiek? — pyta wilk.

— Nie — odpowiada zając. — Ten dopiero będzie człowiekiem.

Idą dalej. Po jakimś czasie natknęli się na dziadka, osiemdziesięcioletniego staruszka.

Wilk znów pyta:

— Czy to jest człowiek?

— Nie — odpowiada zając. — Ten już dawno przestał być człowiekiem. Dajmy mu spokój.

Uszli znów kawał drogi. Wtem nadszedł myśliwy ze strzelbą. Jak zając zobaczył go, zaraz mówi do wilka:

— Bierz go, to jest właśnie człowiek.

Wilk rzucił się na myśliwego, zając zaś schował się. Miał wilk szczęście, że strzelba była nabita ptasim srutem i myśliwy nie zabił go, tylko zranił. Wilk uciekł, lecz był bardziej chory niż zając.

Wkrótce zając i wilk znów spotkali się.

— Jak ci poszło, bracie? — spytał zając.

— Bracie kochany — odparł wilk. — Chciałem go zjeść. Rzuciłem się na niego, lecz on wziął do ręki dużą rurę i wielkim głosem dmuchnął w nią, i zasypało mi oczy, żem nic nie widział. Potem wyjął sobie z boku jedno żebro i zaczął mię nim okładać, i musiałem uciekać, aby życie ocalić.

PERELKA (c. d.)

Aż swym czarem oczy  
Skusila dziewczyny,  
Która ja przeniosła  
W dalekie krainy.

Do atlasowego  
Łóżeczka ją dała  
I w złotą sukienkę  
Prześlicznie ubrała

Raz na palcu pani  
Siostrę zobaczyła  
— Skądże ty tu? — do niej  
Z radością krzyknęła!

— Czyś jest tu szczęśliwa?  
Masz domeczek złoty! —  
— Jam za głębinami  
Pełna jest tęsknoty! —

I siostrzyczka ze łzą  
Odwróciła głowę.  
— Dali mi pudelko  
Lśniące, kryształowe.

Mimo to nie błyszczę  
Tak jasnym promieniem.  
Bo mojego Malza  
Jestem ja westchnieniem!

Aż pewnego razu  
Dom nocą napadli  
I piękną Perelkę  
W złotej sukni skradli.

Wzięła ją Cyganka  
Strzegąc jej zazdrośnie  
Perelka zakrzyknęła  
Nie mogła już głośniej.

Biegnie z nią przez lasy.  
Hen, przez ciemne bory.  
Zewsząd na nią patrzą  
Złośliwe potwory.

— Czym ja się dostała  
Do samego piekła?  
Dokąd razem ze mną  
Cyganka uciekła?

Nagle — nim Cyganka  
Ucieczkę spostrzegła,  
Perla między drzewa  
Do lasu uciekła.

Przerazona ciszą  
Swe przeciera oczy  
I wciąż dalej z góry  
W ciemny las się toczy.

Tam na skraju lasu  
Jest polanka mała,  
Gdzie sierotka Hania  
Swe gąski pasala.

Nikt Hani nie kochał.  
Matenka nie żyła.  
Wciąż wśród obcych ludzi  
Hania się męczyła.

I dziś też żalownie  
Placze ta dziecina.  
Nozki zimne, bose,  
Twarzyczka jej sina.

Ukochane gąski  
Wciąż zgania, rachuje.  
Hania bardzo gąski  
Jedynie miluje.

Nagle patrzy: — Co to  
Tak strojnie się toczy?  
Tak piękne dziewczátko! —  
Hania mruży oczy.